

Włodzimierz Ilnicki

Sygnatura notacji: N01014

Data urodzenia: 15.05.1946 r.

Data nagrania: 08.06.2017 r.

Miejsce nagrania: Narodowe Sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej, Doylestown,
Stany Zjednoczone

Prowadząca/y rozmowę: Sergiusz Kazimierczuk, Rafał Pękała

Czas nagrania: 71 min

Format nagrania: video

Język nagrania: polski



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Sergiusz Kazimierczuk: Proszę się przedstawić.

Włodzimierz Ilnicki: Włodzimierz Ilnicki, Komitet Strajkowy, Grudzień 1970, Gdynia.

Rafał Pękała: Proszę opowiedzieć takie historie związane z Grudniem. Jak pan się znalazł w tym Komitecie Strajkowym? Kim pan wówczas był, gdzie pan pracował?

Włodzimierz Ilnicki: Ja pracowałem wtedy... Było to, kiedy strajki rozpoczęły się w Gdańsku, w grudniu w 1970 roku. Oczywiście słyszeliśmy już to, że tak powiem, pocztą pantoflową, która doszła, że tam już, o ile sobie przypominam, Komitet Partii został spalony, paliło się. Była strzelanina na ulicach. Natomiast nie wiedzieliśmy jeszcze skutków, czy ktoś zginął, czy nie. Niemniej jednak to było w przeddzień 15 grudnia, chyba 15 grudnia, o ile sobie dokładnie przypominam. W każdym razie ja wcześniej rano wstałem, wyszedłem na ulicę i już był tłum ludzi. Już to była gdzieś 7:00 rano, już stoczniovcy z torbami, z palnikami w kaskach byli na ulicach. I w zasadzie to jest konsternacja, co robić, gdzie idziemy. Idziemy pod komitet powiatowy partii w Gdyni, na Władysława IV. Więc poszliśmy tam. Kilka tysięcy ludzie pod gmachem, w sumie skandowali... Skandowali na ulicy, jeszcze kiedy szliśmy: „Suche butki dla Gomułki”. Niemniej jednak, kiedy tam doszliśmy do komitetu powiatowego partii, domagaliśmy się rozmowy z pierwszym sekretarzem. W tym czasie w Gdyni w partii pan Malinowski. Ale niestety stróż wyszedł i powiedział, że nikogo nie ma, że pierwszy sekretarz jest nieobecny, więc weszliśmy do środka i sprawdzaliśmy piętro po piętrze. Faktycznie w budynku nikogo nie było oprócz samego stróża, który tam był. I oczywiście zawiedzeni, że nie ma z kim rozmawiać,

postanowiliśmy się udać do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Gdyni i tam o dziwo przewodniczący prezydium, pan Mariański przyjął nas i w zasadzie był to bardzo taki chaotyczny okres, w którym trudno było o jakiś taki porządek i ład. Wiadomo, tłum. Jedni krzyczą to, drudzy to, różne głosy. Niemniej jednak kilku z nas weszło, zostaliśmy wytypowani przez naszych kolegów na rozmowy z przewodniczącym. Oczywiście to było niesamowite, bo kiedy próbowaliśmy spisywać te... W każdym razie wtedy, kiedy weszliśmy do prezydium, próbowaliśmy sformułować jakieś postulaty. Ale było to tak gorąco, przecież żaden z nas nie miał jakichś, że tak powiem, wcześniejszego przygotowania, o czym pisać, czego żądać. Z tym że tu był bardzo ważny element, który w przynajmniej moim przekonaniu był bardzo ważny, a jednocześnie bardzo taki śliski. Co to znaczy? W moim przekonaniu pierwszym postulatem powinien być postulat precz z komuną. Ale jeżeli chodzi o ten postulat, niestety to było niemożliwe, bo to groziło więzieniem za próbę obalenia komunizmu. Więc również moja opinia o tych postulatach to były postulaty może bardzo prymitywne, niewiele znaczące, nieposuwające się, że tak powiem, do przodu, jeżeli chodzi o wolne związki zawodowe. Co prawda Mundek Hulsz dopisał na drugim tym porozumieniu, odręcznie dopisał o związkach zawodowych, natomiast z tych pierwszych nie było tego. Była to obawa oczywiście przed konsekwencjami, jakie mogło nieść to, że domagamy się, bo komuna mogła wtedy to podciągnąć pod próbę obalenia władzy, bo prawdopodobnie tak to wtedy się nazywało. Już nie pamiętam, ile tych było punktów. Niemniej jednak po podpisaniu, później wyszliśmy na balkon i oznajmiiliśmy, że te postulaty zostały spisane. O ile sobie przypominam, Mundek Hulsz przeczytał te punkty i później zeszedliśmy na dół, i wyszliśmy na ulicę. I co teraz robimy? Więc zdecydowaliśmy się pójść do Dalmoru. Więc byliśmy w Dalmorze. Tam również taki mały wiec był w Dalmorze. A następnie decyzja zapadła, żebyśmy poszli do Stoczni Komuny Paryskiej albo do Domu Związkowego Portu Gdynia. Więc w końcu doszliśmy do wniosku, że zostaniemy w Domu Związkowym Domu Kultury Zarządu Portu Gdynia, który w sumie był raczej, może to błędnie, ja byłem jednym z tych, który raczej optował za Domem Związkowym Portu, ale być może to był błąd, dlatego że Dom Związkowy Portu był na zewnątrz. Tam nie było jakiegoś zabezpieczenia. Być może gdybyśmy wybrali Komunę, Stocznnię Komuny Paryskiej, to wtedy tam była brama i tam ktoś mógłby nas bronić. Tu nikt nas nie bronił. Tam zostało około 300 ludzi, którzy chcieli zostać, ale o ile sobie przypominam, gdzieś koło 10:00-11:00, kiedy myśmy obradowali u góry w tym małym pokoju, ci robotnicy przyszli do nas: „Czy chcecie, żebyśmy tu zostali, czy chcecie, żebyśmy...”. Więc myśmy zdecydowali, że lepiej będzie, jeżeli pójdą do domu. Jesteśmy legalnie, to nie jest nic nielegalnego. Mamy podpis przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej, więc czuliśmy się w pewnym sensie pewni, co później odbiło się w drugą stronę przeciwko nam. Niemniej jednak myśmy wystali ich do domu. Zostaliśmy sami. I te obrady trwały. Od której? Chyba gdzieś od godziny... Nie przypominam sobie dokładnie, ale chyba od godziny gdzieś 6:00. 4:00-6:00 po południu do godziny 2:00. O 2:00 oczywiście przyjechało... wtedy było ORMÓ. Ja dalej nigdy ZOMO nie widziałem, bo ZOMO chyba powstało dopiero po 1980 roku. Nie wiem. ORMÓ było. W każdym razie ORMÓ i milicja, przyjechało kilka samochodów i kiedy wpadli, to było też straszne, jeżeli chodzi w ogóle o samo zachowanie się milicji i ormowców. Kiedy tam wpadli, tam nie było żadnego tłumaczenia. Pamiętam, że zerwałem się od stołu i my jesteśmy legalnie tutaj, mamy papier. Dostałem parę razy pałką po głowie i na tym się skończyło moje tłumaczenie. Zaraz za rękę i zaczęli nas kuć w kajdany. Z tym że tak jak mówiłem wcześniej, to zakuwanie w kajdany było bardzo ciekawe. Prawdopodobnie tylko dlatego, żeby nikt nie uciekł, to była prawa ręka do prawej ręki, czy lewa ręka do lewej ręki. Po prostu gdy we dwójkę nawet byśmy chcieli uciekać, to było ciężko. Bo gdyby jeszcze prawa ręka do lewej, to prawdopodobnie lżej by było. Niemniej jednak kiedy schodziliśmy na dół, zaczęli nas bić, kopać i oczywiście najgorsze to były te drzwi, gdzie... kiedy weszli do budynku, nawet nie próbowali otworzyć drzwi, tylko wybili dziurę w drzwiach,

jak są te kratki, to jedną z tych krat, zwłaszcza tę dolną wybili i przez to musieliśmy przechodzić. Oczywiście, żeby przejść przez to, trzeba było się schylić. Ale już na schodach, jak zaczęli nas bić, te kajdanki się rozkuły i zostałem z kajdanką na ręku i wychodziłem sam... I kiedy wyszedłem, oczywiście czekała nas ścieżka zdrowia. To było aż od drzwi, szpaler stał ormowców i milicjantów, aż do samego wejścia do samochodu. I ja będąc z tą kajdanką, w pewnym sensie czułem się, próbę ucieczki planuję, mówię, będę uciekał, bo nie wiadomo co ze mną zrobią. I przed samym samochodem było gdzieś około metra przestrzeni pomiędzy ostatnim tam ormowcem a wejściem do samochodu, do suki. Tak to się chyba nazywało wtedy. W każdym razie tylko krok dałem i ten ormowiec podłożył mi nogę i wtedy strasznie mnie zbili tam. Skopali mnie, zbili i wrzucili do tego samochodu. Następnie wywieźli nas, oczywiście nie wiedzieliśmy, gdzie jedziemy, na jak długo jedziemy, co będzie z nami. W każdym razie zawieźli nas do Wejherowa do więzienia i tam nigdy nie zapomnę tego korytarza. Byłem tak zmęczony, tak zбитy, tak skopany i nigdy nie zapomnę tej zbiórki w tym korytarzu. O ile sobie przypominam, to była suteryna i na tym korytarzu staliśmy, i ja już po prostu nie miałem siły stać. Byłem tak omdlały i się oparłem o ścianę. Nigdy nie zapomnę, jak ten jeden z tych naczelników, nie wiem, kto tam był, jak ryknął: „Nie opierać się!”. To było dla mnie poniżające, bo naprawdę ledwie stałem na tych nogach. Niemniej jednak jeszcze jak... kiedy już weszliśmy do celi, moim jedynym marzeniem było położyć się. Po prostu tak byłem i psychicznie, i fizycznie zmaltratowany, że... I był taki brudny, śmierdzący siennik słomą wybity. Ja padłem na ten siennik i prawdopodobnie już leżąc, kładąc się, już spałem. Byłem tak zmęczony. Na drugi dzień oczywiście później przesłuchania w więzieniu. Było to takie przerażające wtedy, ale pamiętam, że napisałem, były okrzyki, że „Suche butki dla Gomułki”, bo takie były okrzyki na ulicy. Widziałem, że kiedy czytał to ten, który mnie przesłuchiwał, był bardzo zbulwersowany tym. Mówi: „Czy tak na pewno było?”, ja mówię: „Tak było”. Dostałem w mordę wtedy, ale przeżyłem. Niemniej jednak kilka razy nas przesłuchiwali. Ale chyba najtragiczniejszy moment był dla mnie wtedy, kiedy jeden z naszych kolegów był na przesłuchaniu i poszedł do ubikacji. I wiadomą rzeczą wtedy papieru toaletowego nie było zbyt wiele, były gazety. I była gazeta... oczywiście były już porwane te gazety. Nigdy nie zapomnę, kiedy w tej gazecie na jednym takim urwanym małym skwerku z tej gazety było, że była strzelanina, że zginęli ludzie i to był chyba najbardziej taki dla mnie moment, w którym psychicznie byłem w takim dołku, że to było w pewnym sensie coś, za co ja też czułem się winny, że byłem i może to przeze mnie jakoś, taka wewnętrzna wina była we mnie, że ja zawińłem, że zrobiłem coś, co... Ale to nie powinno być. To był straszny dla mnie moment. Przed wyjściem z więzienia, jeszcze wtedy prawdopodobnie, kiedy zdecydowali nas wypuścić, bo nie był podstaw nas trzymać. W sumie to, co zrobili, dzisiaj, z perspektywy czasu patrząc, to było totalnie nielegalne, bo nas trzymali kilka dni tam. To było nielegalne, bo jeżeli chodzi o stan wojenny, to stan wojenny był w pewnym sensie usankcjonowany. Natomiast wtedy było prawo, gdzie można było na 48 godzin zatrzymać, ale po 48 godzinach albo..., albo... Wtedy nas trzymali tam chyba dziewięć dni. Dziewięć czy coś takiego. I przed wyjściem, bo w zasadzie oni wołali po kolei, mnie zawołali chyba gdzieś o godzinie 3:00 nad ranem. I o ile sobie przypominam, chyba czterech ich było w pokoju i kiedy zaczęła się rozmowa od tego, że „Obywatelu, jesteście młodym człowiekiem, przyszłość przed wami. My wam możemy pomóc, jak wy nam pomożecie”. I właśnie wtedy powiedziałem bardzo prosto: „Dlatego, że jestem młody, ja sobie poradzę bez pomocy. Jestem silny, jestem zdrowy i poradzę sobie bez pomocy”. I wtedy mnie, i jeszcze drugiego kolegę wypuścili, nas dwóch i zawieźli nas do... To znaczy podwieźli do domu, z tym że tu był następny taki moment, w którym właśnie tak przeżyłem, kiedy zobaczyłem zasieki z drutów, czołgi, wojsko, milicja na ulicach. Nikogo nie było. Widziałem w dwóch miejscach żołnierze palili te jakieś tam ognisko, takie w tych kociołkach takich, jakieś tam. I to było straszne dla mnie. I kiedy przejechałem, przejeżdżałem koło

Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Gdyni, to był następny wstrząs, te czołgi właśnie przed Prezydium. Działa, puste ulice. Nikogo na ulicy. Wojsko i milicja. To było takie... Bardzo przeżyłem ten moment, kiedy w ten gazecie przeczytałem i ten moment, kiedy zobaczyłem to na ulicy. Taki.

Rafał Pękała: Czy później był pan wzywany na jakieś przesłuchania?

Włodzimierz Ilnicki: Tak, tak, bardzo często. To było normalne, że wzywali na przesłuchania. Dostałem też od razu powołanie do wojska. Z tym że udało mi się... W każdym razie udało mi się, bo kiedy przyszedłem na komisję wojskową, ja byłem po wojsku. Ja skończyłem Podoficerską Szkołę Zawodową w Elblągu, tak że byłem po wojsku. Byłem podoficerem zawodowym. To znaczy wtedy zrezygnowałem z wojska i szefem komisji wojskowej okazał się lekarz, którego bardzo dobrze znałem. I dzięki niemu nie zabrali mnie do rezerwy. Ja byłem niebezpieczny dla nich, bo... A takich ludzi to zaraz brali do rezerwy do wojska, zamykali w koszarach i wtedy ten osobnik nie był groźny. W każdym razie udało mi się, zresztą nie będę mówił, bo zabrali mi przepustkę do Portu, czyli jak... wtedy Wybrzeże to był punkt graniczny, w którym trzeba było mieć zameldowanie, więc tam jak się pracowało, to można było na rok dostać zameldowanie. Na stałe bardzo ciężko było. Zresztą, żeby być zameldowanym na stałe na Wybrzeżu, trzeba byłoby mieć mieszkanie, ale jak nie było pracy, to nie dali zameldowania, jak nie było zameldowania, to nie dali pracy i to było takie ten. Niemniej jednak wtedy, kiedy zabrali mi przepustkę, ja poszedłem do pracy do PSK i z początku to się nazywało ekspedient kolejowy. PSK to była Polska Spedycja Krajowa. To były te paczki, przesyłki różne. I jako ekspedient, oni nazywali to ekspedient kolejowy, do moich obowiązków to było wejście do Portu, zorganizowanie brygady przeładunkowej i pisanie listów przewozowych, załatwienie wagonu kolejowego. Przede wszystkim to były przesyłki do PKO i do Baltony. Takie to było, to jest to, co robiłem. Załatwienie tych spraw. I oczywiście chyba po dwóch czy trzech tygodniach znowu przepustkę mi zabrali. Więc wtedy przenieśliem się do rejonu na Jana z Kolna. To jest, jeżeli znacie... W każdym razie na Jana z Kolna, bo tam poszedłem jako kierownik oddziału technicznego. Tam kilka samochodów, mechanicy i tam pracowałem dwa czy trzy lata. Dwa lata, coś takiego. W każdym razie kolega mój, który pracował w dziale reklamacji, jak tylko się przyjąłem tam do pracy, on wyjechał do Niemiec do pracy. On był w dziale reklamacji i pracował. Po dwóch latach przyjechał tam i mówi: „Włodek, co ty tu robisz? Idź na budowę, idź na koparki, wyjedź za granicę”. On przez dwa lata sobie zarobił na Wartburga. W Niemczech pracował. Ja faktycznie posłuchałem go i poszedłem do Gdyńskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego na Śląskiej i tam się przyjąłem jako operator koparki. I wysłali mnie z koparką do Komuny Paryskiej, do Stoczni Komuny Paryskiej. Po dwóch tygodniach oczywiście przyszło, że mam zejść z koparki. Przepustkę mi zabrali do stoczni. I wtedy, kiedy mi zabrali tę przepustkę, dyrektor mnie wezwał do siebie. Poszedłem do dyrektora. Dyrektor zaprosił mnie do gabinetu, mówi: „Panie Ilnicki, co się dzieje z panem?”, ja mówię: „A co się stało?”. On mówi: „SB przyszło do mnie i kazali mi pana zwolnić. Nie wiem co na to odpowiedzieć, ale niech mi pan powie, co pan zrobił?”. Więc ja opowiedziałem mu tę historię. On mówi: „Niech się pan nie boi, ja pana nie zwolnię. Oni mnie straszili tu, że mam zwolnić, że to jest bardzo pilne”. I oczywiście on mnie nie zwolnił. Tam pracowałem kilka miesięcy, do momentu wyjazdu na wycieczkę turystyczno-krajoznawczą Austria-Włochy-Jugosławia. Dlaczego pojechałem na wycieczkę? Ja oczywiście zamierzałem uciec z Polski, dlatego, że te prześladowania... Ja pominąłem wiele rewizji, pominąłem wiele przesłuchań, pominąłem wiele przesłuchań na WKR, czyli wojsko mnie wzywało cały czas i to było nawet moment, ja wspominałem o tym wcześniej, że ja już byłem tak zdesperowany, że ja chciałem jechać do Warszawy, kupić łańcuch, kupić kłódkę,

przywiązać się do pomnika jakiegoś w Warszawie i krzyczeć, jaką krzywdę mi robią. Po prostu byłem tak psychicznie zmalretowany. Ale jeden z kolegów mi poradził, mówi: „Włodek, jeżeli chcesz uciekać za granicę, nie próbuj szukać zaproszenia z zagranicy. Idź do Orbisu, Orbis organizuje wycieczki na Zachód. Jeżeli pójdziesz do Orbisu, to ty nie musisz iść po paszport. Po paszport Orbis idzie”. Ale tu muszę jeszcze dodać, że kiedy już wyrzucono mnie z pracy, nie miałem zameldowania, dobrzy ludzie mi pomogli. Zameldowali mnie na stałe w 1972 roku. W 1971 roku pod koniec chyba. Już nie pamiętam. Niemniej jednak zameldowali mnie na stałe, co wtedy równało się w pewnym sensie, jeżeli miałeś dom i kogoś meldowałeś u siebie w domu na stałe, to tak prawie że jakbyś mu oddał pół domu. Ale zameldowali mnie wtedy w Rumi. Byłem zameldowany chyba od 1971 roku, pod koniec 1971 roku. I już miałem to zameldowanie na stałe, tak że już nie musiałem się martwić, że nie dostanę pracy. Dlatego, że miałem zameldowanie, bo tam było, jak nie miałeś tego, to nie wolno ci było... W każdym razie... też była wtedy polityka taka, że żeby otrzymać paszport, to milicja sprawdzała zawsze z ostatnich dwóch lat ze stałego miejsca zamieszkania. I ja już mieszkałem wtedy w Rumi dwa lata, a Rumia podlegała pod Puck. Czyli jeżeli mnie sprawdzali, to sprawdzali mnie w Pucku, a w Pucku ja nie miałem czarnej karty, bo gdyby przyszli do Gdyni, ja bym w życiu paszportu nie dostał, bo wiadomo, czarny charakter nie może wyjechać za granicę, wróg państwa nie może wyjechać za granicę. Tym bardziej w latach 70. Tym bardziej że tam miałem kartotekę taką w Gdyni, a w Pucku byłem czysty jak łąka. Wtedy poznałem też żonę w Orbisie, ale to wcześniej. Bo mój ojciec przyjechał, kilka miesięcy wcześniej przyjechał do mnie do Gdyni i ja mu załatwiałem bilet w Orbisie na pociąg chyba wtedy. Coś takiego. W każdym razie wtedy spotkałem swoją przyszłą żonę, która była studentką na Uniwersytecie Gdańskim, a w czasie wakacji pracowała dorywczo jako studentka w Orbisie w informacji i tam poznaliśmy się. W każdym razie ona tam miała koleżankę i zresztą z koleżanką powiedziała, że temu panu trzeba pomóc, żeby załatwić ten paszport i faktycznie dostałem paszport. Z tym że byłem na tyle może nie perfidny, ale nieuczciwy w stosunku do mojej dziewczyny, bo nie powiedziałem jej, że ja mam zamiar wyjeżdżać na stałe. Ja po prostu się bałem, bo... Ej, może dziewczyna za bardzo zakochana, powie: „Ej, jak pojedzie, to już go więcej nie zobaczę.”, to może powiedziec: „Ej, ten facet chce zwać”. I faktycznie ja wtedy wyjechałem, z tym że nigdy nie zapomnę tego uczucia, kiedy byłem w samolocie już. O, jeszcze spóźniłem się. Spóźniłem się na lotnisko. I przyszedłem już, ci ludzie odeszli, przeszli, ja zacząłem tędy i mówi, ten przewodnik mówi: „Pański paszport myśmy oddali tam. Musi pan iść do biura”. Więc ja polecałem tam szybko i kazali mi oddać dowód osobisty i wtedy dali mi paszport, i wsiałem do samolotu, ale nigdy nie zapomnę tego uczucia, co później zresztą też odbiło się na moim stanie jakimś takim psychicznym i nie wiem, czy wiecie, co to są sny emigranta. Miałem chyba do trzech lat. Często esbecja wyciągała z tego samolotu. Przez trzy lata te sny. Nigdy nie zapomnę, jak wchodzili na pokład samolotu i mnie kuli w kajdany, wyciągali mnie z samolotu i to też ciągle: „Co, chcieliście uciec?”. Ale w każdym razie dopiero poczułem się pewny siebie i pewny swojego, że jestem już, kiedy wylądowaliśmy w Wiedniu. Jestem już po drugiej stronie. Teraz już tu mi nic nie robią. I zamiast... też głupio zrobiłem, ale to nie wiem dlaczego, zamiast wykorzystać te dwa tygodnie tej wycieczki do końca i wtedy bryknąć, to ja na drugi dzień tak byłem w tym wszystkim, że tak powiem, nie myślałem logicznie i uciekłem. Wtedy pojechałem ja i drugi taki kolega też. On wyczuł, że ja chcę uciec i przyszedł do mnie, ale to już w Wiedniu. Mówi: „Co, idziemy?”, ja mówię: „Idziemy”. Wsiedliśmy w pociąg, pojechaliśmy do Triestu. W Trieście zgłosiliśmy się na policję i wzięli nas do obozu w Padriciano. Padriciano, tak. I tam byliśmy miesiąc czasu. Oczywiście zaraz prawdopodobnie CIA tam było, bo przyszedł major Wiśniewski, ale major Wiśniewski to był amerykański major. On przesłuchiwał. Tam dostałem azyl polityczny. No, tam byłem dwa miesiące. Później wywieźli nas koło Neapolu. Konsulat amerykański, papiery załatwione. Po trzech miesiącach już byłem w Stanach.

Co ciekawe, po roku czasu przychodzi do mnie agent FBI i pyta się, jak się nazywał ten szpieg polski, którego złapali. Największy szpieg polski, tu w Ameryce, który został przechwycony. On jest teraz szanowanym biznesmanem. Nie wiem, czy panowie pamiętacie to nazwisko.

Sergiusz Kazimierczuk: Zacharski?

Włodzimierz Ilnicki: Jak?

Rafał Pękała: Zacharski.

Włodzimierz Ilnicki: Zacharski. Przyszedł agent FBI i w zasadzie on po prostu... Oczywiście oni mieli moje papiery, dokumenty, wiedzieli, co ja robię i właśnie pytał się o Zacharskiego. On podobno powiedział, że on był w strajkach w Gdyni. Więc oni przyszli do mnie, sprawdzali, czy ja go znam. Ja go w życiu nie widziałem. On na pewno nie był. Dwa tygodnie później oczywiście w radiu i telewizji największego szpiega złapali. Bo on zdjęcia pokazywał, mówi: „O, to ten sam, który...”. Żona zresztą: „Popatrz, ten sam facet”. Tak że tak to mniej więcej wyglądała moja droga do Stanów.

Rafał Pękała: Proszę powiedzieć w ogóle, jak się zaczęła pana działalność opozycyjna? Od czego to się zaczęło? Z kim pan współpracował? Jak to się zaczęło?

Włodzimierz Ilnicki: Okej, tu może musiałbym wrócić jeszcze do rodzinnego domu. Mojego tatę w latach 50... Przyszło... To było UB. Zamknęli ojca za to, że wypalił Stalinowi oczy na portrecie. Za to dostał 14 miesięcy. Zamknęli go. Był okres największego stalinizmu. Tak że prawdopodobnie wyniosłem to z domu. Kiedy byłem żołnierzem zawodowym i pracowałem w Radomiu jako starszy mechanik na samolotach odrzutowych, pierwszych polskich Iskrach, kiedy zastępca dowódcy pułku do spraw politycznych zawołał mnie do siebie i chciał mnie zapisać do partii. Ja w zasadzie niewiele wtedy myśląc, wystrzeliłem jak totalny idiota, można powiedzieć. Mówię: „Obywatelu, majorze, mój tata zawsze mówił, że nigdy się do kołchozu nie zapisze”. I tak się skończyła moja kariera wojskowa. Dlaczego mówię „Skończyła się”? Bo wtedy, kiedy to powiedziałem panu majorowi, który był politrukiem, odebrał to w bardzo jakiś taki nieprzyjemny sposób i tylko w pierwszy weekend już miałem służbę. Dowódca prochowni, następny weekend dowódca patrolu, następny pomocnik oficera inspekcyjnego garnizonu. Służba była weekend po weekendzie, ciągle służba. Po kilku miesiącach raport jeden, drugi o zwolnienie i zwolnili mnie wtedy, wyszedłem z wojska. Ja wiedziałem, że to był koniec mojej kariery już wtedy, jeżeli chodzi o ten... Tak że to wpłynęło na to, że odszedłem z wojska. Ale to też, tak jak mówiłem, to wyniosłem z domu.

Sergiusz Kazimierczuk: Później się pan przeniósł na Wybrzeże? Od razu czy...

Włodzimierz Ilnicki: Ja pracowałem jeszcze rok czasu, chyba rok czasu pracowałem w studium wojskowym na Politechnice Wrocławskiej, ale moim marzeniem było pływać, iść na statki. Zresztą to, że w wojsku się znalazłem, to też było... chciałem iść do Marynarki Wojennej, ale tam nie było miejsca i poszedłem do lotnictwa. Przeniósłem się

na Wybrzeże, oczywiście z jakąś ideą dostania się na pływanie, na podróż. Podróże, podróże to było moja... Zobaczyć świat. Ale właśnie jak przyjechałem na Wybrzeże, oczywiście grudzień, to wszystko, to spaliło na panewce, ponieważ moje papiery już nie nadawały się, że tak powiem, do otrzymania książeczki żeglarskiej. I stąd zostałem na Wybrzeżu, a później już wydarzenie grudniowe, to też poniosło za sobą konsekwencje tego, że nie miałem żadnych szans na pływanie.

Sergiusz Kazimierzuk: Z kim pan współpracował w...

Włodzimierz Ilnicki: Więc po wyjściu z więzienia oczywiście spotykaliśmy się z byłym przewodniczącym, Andrzejem Słodkowskim. On był przewodniczącym tego Komitetu Strajkowego. Ja byłem jego zastępcą pierwszym. Drugim zastępcą był Mundek Hulsz. Nie wiem, czy panowie znają to nazwisko, Edmund Hulsz. Po wyjściu stamtąd spotykaliśmy się. Próbowaliśmy zdobyć maszynę do pisania, jakiś powielacz. To oczywiście były kwestie finansowe, z tym że w tym czasie niestety, ale jeden z naszych kolegów był TW, o czym myśmy wtedy nie wiedzieli i w zasadzie każdy jedno słowo, które tam było, odbiło się na komendzie. To było do momentu, kiedy przewodniczący, wtedy już były przewodniczący, Słodkowski, przyszedł i oznajmił, że pod tym szyldem będziemy działali z jednej strony, że to będzie niby legalne, ale z drugiej strony sama nazwa mi w ogóle absolutnie nie odpowiadała i ja wtedy zerwałem z nimi te kontakty. Sama nazwa mnie odrzuciła i w ogóle nie byłem pewien, już wtedy zacząłem wątpić w naszego przewodniczącego i ja odszedłem, z tym że kontaktowałem się z różnymi kolegami z Komitetu. Między innymi z Tadeuszem Nowakiem. Tadeusz Nowak. On napisał taką malutką broszurkę „Zanim powstała Solidarność”. Chyba coś takiego, taki tytuł. On skończył KUL i on między innymi był, wiem, że pracował w jednym zakładzie gdzieś z Lechem Wałęsą. On między innymi opisywał jego stosunek do Wałęsy i ten, tak że z nim często się spotykałem. To było spotkanie, on był młodszy ode mnie i jeszcze siedząc w więzieniu, oczywiście rozmawialiśmy o różnych rzeczach, między innymi ja byłem ratownikiem. Ja byłem ratownikiem, pletwonurkiem, miałem patent żeglarski. Byłem taki wodny, że tak powiem. I on bardzo się zapalił do tego, żeby zostać ratownikiem i oczywiście pytał się. Ja między innymi byłem w WOPR-ze, w Wodnym Ochotniczym Pogotowiu Ratunkowym, w Gdańsku, byłem w komisji szkoleniowej. Tu jeszcze jedna ciekawa rzecz. Ja właśnie powiedziałem mu o tych wszystkich, ale bardzo ciekawa rzecz. Kiedy byłem w tej komisji szkoleniowej, szefem WOPR-u był Stanisław Know. Know się pisało. Know. I ja pamiętam, że myśmy rozmawialiśmy oczywiście na temat mojej przeszłości i była sytuacja taka, że on mówi: „Włodek, wiesz co, tam będzie spotkanie. Ja chciałbym, żebyś pojechał ze mną na to spotkanie”. I ja pojechałem z nim na to spotkanie. Naprawdę już dzisiaj nie pamiętam, gdzie to było. Nigdy bym tam nie trafił. Niemniej jednak na tym spotkaniu był w mundurze podpułkownik, wojskowy, był major, ale major był po cywilnemu. Wiem, że oczywiście było tam trochę alkoholu, z tym że rozmawialiśmy oczywiście o różnych rzeczach. Ja nie przypominam sobie dokładnie. Niemniej jednak były rozmowy a propos partii i tak dalej. Dwa dni po tym spotkaniu zostałem wezwany na WKR, żeby opowiedział, o czym rozmawialiśmy. Ja mówię, w zasadzie wtedy byłem pewny siebie może bardziej niż kiedykolwiek. Ja mówię, przeważnie obracałem się w towarzystwie, gdzie rozmawialiśmy o kobietach, o dziewczynach. Zacząłem właśnie w ten sposób. Zostałem skarcony, że to nie to, że oni wiedzą coś więcej. Jak wiecie, to nie pytajcie się mnie. To bardzo prosty ten. Ale to wtedy mi w jakiś sposób... Nie wiedziałem dosłownie, co o tym myśleć, skąd oni wiedzieli, jak się dowiedzieli, kto tam był. Do dzisiaj nie mam pojęcia, co to miało wszystko znaczyć. Nie wiem, czy wiecie, bo byłem podejrzany o szpiegostwo. Moja kartoteka dopiero została zamknięta dwa lata po moim wyjeździe już na Zachód, ale byłem inwigilowany jako

szpieg. To było pod kryptonimem „Podoficer”. Taki był ten. Tak że na pewno nic nie odkryli, bo nigdy szpiegiem nie byłem, ale pomijając to, niemniej jednak prawdopodobnie to miało jakieś połączenie z tymi wojskowymi, co wtedy się spotkałem, ale do dzisiaj nie wiem, jak to było. Nienawiść do komuny to wyniosłem z domu. Stąd. Ej, coś się dzieje, jak komunistów bić, to ja pierwszy. Może przesadzam, ja to w takiej formie pół żartem, pół serio, ale po prostu moi rodzice nienawidzili komunistów. Nie wiem, od czego zacząć, jeżeli chodzi o te... To było wszystko spontanicznie. To było: „Co robimy?”. To było: „Co robimy? Gdzie idziemy?”. To jest tak jak z tymi postulatami. „Co napiszemy?”. Z jednej strony chcielibyśmy napisać: „Precz z komuną”, z drugiej strony: „Ej, to grozi”. To grozi. Nigdy nie zapomnę, kiedy wylądowaliśmy w więzieniu, kiedy różni, że tak powiem, mędracy, adwokaci, którzy szukali, z czego nas, z jakiego paragrafu mogą nas zamknąć, z jakiego paragrafu ile dostaniemy, ile nas czeka, 10 lat, 5 lat. Różne wersje były. To było straszne też. Ja może w tej chwili tak troszeczkę to ujmuję w takiej lekkiej formie, ale nigdy nie zapomnę. To było straszne, kiedy w jeden dzień dali nam więzienne ubrania. Teraz powstaje pytanie: na jak długo? Jak długo tu będziemy? Kiedy nas wypuszczą? Czy w ogóle nas wypuszczą? Co z nami zrobią? To było niesamowite wtedy, z tym że człowiek był młody. Ja miałem 24 lata. Z tym że druga rzecz, którą... Ja jeszcze chciałbym wrócić do tej, co podpisali. Analizuję oczywiście to teraz z perspektywy lat.

Rafał Pękała: Znaczą, podpisali lojalni, tak?

Włodzimierz Ilnicki: Tak, te lojalni, którzy podpisali lojalni. I rozumiem tych, którzy mieli rodziny. Absolutnie. Rozumiem to. Ja byłem samotny. Byłem kawalerem. Ja nie miałem obowiązków w stosunku do nikogo. Ani do żony, ani do dzieci, bo nie miałem tego. Natomiast im serdecznie współczuję, tym uczciwym, którzy na pewno walczyli w środku z sobą, podpisać, nie podpisać? I dzisiaj z perspektywy czasu, tak oczywiście na bazie pana Wałęsy, pana prezydenta Wałęsy, próbuję analizować jego jakiś tok myślenia. On podpisał, bo miał rodzinę. Być może ratował rodzinę, być może próbował w jakiś sposób tej rodzinie zapewnić to jestestwo. I w dniu dzisiejszym gotów jestem uściskać każdemu jednemu rękę, który podpisał. Ale który się nie ześwinił donoszeniem. Absolutnie. On dla mnie dalej jest człowiekiem. Bo ja tam byłem i ja wiem, co oni robili. Ja wiem, jak oni straszili. Ja wiem, jak oni obiecywali. Ja absolutnie rozumiem tych, którzy mieli rodziny i podpisali. Natomiast dla mnie ostatnią gnidą jest ten, który podpisał i brał za to pieniądze. Bo jeszcze jestem w stanie wytłumaczyć tego, który dla idei to robił. Być może wierzył w komunizm. Ale nie wybaczę tym, którzy brali pieniądze. I ten, który donosił na mnie, nie wiem, gdzie on dzisiaj jest. Nie wiem, co się z nim dzieje. IPN też nie ma o nim wiadomości, o panu Muskale, który przychodził na spotkania nasze, kiedy próbowaliśmy coś zrobić, ulotki, coś, zrobić następny strajk. O tym wszystkim oczywiście esbecją wiedziała. I to był dla mnie największy podły człowiek, który chodził po tej ziemi.

Sergiusz Kazimierczuk: A pan sprawdził tę swoją teczkę później?

Włodzimierz Ilnicki: Ja dostałem.

Sergiusz Kazimierczuk: Czytał pan, tak?

Włodzimierz Ilnicki: Tak, tak. Są wszystkie każde jedno moje słowo, donosy. O tym, że mówiłem, że o próbie

ucieczki za granicę, o tym, że chciałem do ambasady włoskiej po pieniądze, po jakieś maszyny do pisania, coś. Wszystko wiedzieli. I mówiąc o tych rewizjach, o których wcześniej mówiłem, to żonie nie powiedziałem nawet, moja córka zresztą miała wielkie pretensje do mnie, kiedy dowiedziała się o tym, co ja robiłem. Miała pretensje do mnie, moja córka już prawie 40-letnia. Ale kiedy była 45. rocznica, kiedy dowiedziała się, co ja robiłem, to miała pretensje, że ona nic o tym nie wiedziała. Tu nikt nie wiedział w Polonii. Chociaż o tym mogłem mówić, żona prowadziła program, zresztą do dzisiaj prowadzi. Prowadzi ten program, mogłem wejść na antenę i chwalić się tym. Nigdy tego nie zrobiłem. O tym właśnie, co mówiłem wcześniej, że to było dla mnie tak upadające, kiedy mi napluli na głowę.

Rafał Pękała: Przed kamerą o tym pan nie powiedział.

Włodzimierz Ilnicki: Nie, tego nie powiedziałem, bo wstyd mi było.

Sergiusz Kazimierzczuk: A w którym to było momencie, proszę powiedzieć?

Włodzimierz Ilnicki: Kiedy przyszli do mnie, to było zaraz w styczniu, w lutym. Wtedy, kiedy takie było nasilenie rewizji, przesłuchań, kiedy...

Sergiusz Kazimierzczuk: W 1971 roku, tak?

Włodzimierz Ilnicki: Tak, w 1971 roku. Kiedy przyszli do mnie do domu, pamiętam, kiedy zaczęli pukać, drzwi były zamknięte. „Kto tam?” „Milicja, otwierać”. Ja otworzyłem, mówi: „Rewizje”. Ja mówię: „Poproszę nakaz rewizji”. I stałem w tych drzwiach, trzymałem, nie chciałem wpuścić. Oczywiście odepchnęli mnie i ja zacząłem tam wyrwać się. Zakuli mnie w kajdany i jeszcze powiedzieli, że oskarżą mnie o stawianie czynnego oporu władzy. I kiedy byłem zakuty z rękoma do tyłu na krześle, dwóch szukało tam, znaleźli tylko dokumenty dotyczące wystąpień na zebraniach, notatki.

Głos: Szczęść Boże.

Włodzimierz Ilnicki: Szczęść Boże, ojcie. I to było to, co znaleźli w każdym razie. Nie pamiętam, co ja powiedziałem. W pewnym momencie czuję, jak mi napluli na głowę.

Rafał Pękała: Przy każdej rewizji skuwali panu ręce?

Włodzimierz Ilnicki: Nie, nie, nie. Mnie nie było przy kilku rewizjach.

Sergiusz Kazimierzczuk: Czyli pan przychodził i dopiero widział, że...

Włodzimierz Ilnicki: Tak. Sąsiad mówi: „O, u pana byli, rewidowali”. Raz mnie wywieźli pod Kack, zostawili tam. Też nie wiedziałem, jak wysiadłem z tego, wypuścili mnie. Nie wiedziałem, czy dostanę kulę, czy nie dostanę. Czy

będą bić, czy nie będą bić. To były bardzo nieprzyjemne momenty. To były momenty, które zostały mi na zawsze. Ciężko mi się wspomina to. To nie było łatwe.

Rafał Pękała: A jeszcze w grudniu, kiedy weszliście do Prezydium do Gdyni, bo pan był wśród osób, które weszły do Prezydium Rady Miejskiej w Gdyni.

Włodzimierz Ilnicki: Tak.

Rafał Pękała: Tam było kilka osób. I z tego, co pamiętam, te osoby podzieliły się. Pan był wśród negocjujących?

Włodzimierz Ilnicki: Tak, tak. Ja byłem wśród...

Sergiusz Kazimierzuk: Kto tam z panem wszedł jeszcze? Kto to był?

Włodzimierz Ilnicki: Te nazwiska są na porozumieniu. Wiem, jednocześnie młody chłopak został tam z nami. Słodkowski chyba był, Mundek Hulsz był. To myśmy siedzieli, była sala taka jakby obradowa przy biurze przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej i tam usiedliśmy, z ramienia Prezydium było chyba trzech, o ile sobie przypominam i nas było, nie pamiętam ilu. To, co podpisaliśmy na liście. Nie pamiętam, ilu tam nas było. Pamiętam, że kilka razy wychodziliśmy i konsultowaliśmy z sobą, co następne, co następne. Po prostu byliśmy... To było tak nagle, że nie wiedzieliśmy, jak to ubrać, jak to ugryźć. W jaki sposób to oprawić. Wszyscy mówiliśmy o tym. Ja pierwszą rzecz to bym napisał: „Precz z komuną”, ale napisz to, zamkną w więzieniu. Druga rzecz, wolno rozwiązać związki zawodowe, utworzyć nowe związki zawodowe, ale to też podciągną pod próbę obalenia władzy. Też wytoczą jakiś paragraf. Stąd były, to były może głupie postulaty, ale jednocześnie to było zbyt szybko, zbyt nagle, żeby cokolwiek mądrego można było spłodzić. I to był problem niestety. Chcielibyśmy więcej, ale w tym układzie i w tej sytuacji politycznej, jaka wtedy była, to było bardzo ciężko. Jednocześnie wszyscy drżeliśmy o to, co z nami zrobią, jeżeli będziemy się domagali upadku komuny, rozwiązania komuny. Bo to też sytuacja jest taka, że: „Ej, domagają się...”, to przewrotowcy, wywrotowcy, próba obalenia władzy. To grozi. Tak że stąd to były takie momenty za i przeciw. Oczywiście obawa. Obawa o to, co będzie jutro, co z nami zrobią. Bo to myśmy liczyli się z jakimiś konsekwencjami, natomiast chcielibyśmy więcej, ale konsekwencje, że tak powiem, w pewnym sensie wstrzymywały nas. Tam sama myśl o konsekwencjach, które mogą nastąpić? Stąd to było...

Rafał Pękała: Jak byliście u Mariańskiego, to widzieliście, co się równolegle wydarzyło w Gdańsku.

Włodzimierz Ilnicki: Tak, myśmy wiedzieli o tym, że Komitet Partii został spalony. Wiedzieliśmy o tym, że zginęli ludzie, wiedzieliśmy, że były aresztowania i to na dużą skalę. To było już wiadomo, w tym czasie, kiedy myśmy byli u Mariańskiego. Chociaż oczywiście to wszystko było pocztą pantoflową, bo wtedy absolutnie jeszcze w prasie nic nie było. Nic się nie ukazało. Aktualnie w pewnym sensie na pewno znacie to, bo w „Głosie Wybrzeża” ukazał się ten artykuł „Obraz wydarzeń grudnia”. Tam między innymi mnie tam też opisali, że „Przybył”, bo ja poszedłem na zebranie partyjne w Porcie po tych wydarzeniach i domagałem się pomnika dla pomordowanych. I właśnie napisali,

bo ja powiedziałem, że jestem niepartyjny, ale tym, którzy zostali pomordowani, należy się pomnik i wtedy między innymi tam jest bardzo mały taki urywek w tym obrazie wydarzeń z Grudnia 1970 roku. Oczywiście jak tylko wróciłem, chyba dwa dni później już była rewizja u mnie, po tym wystąpieniu na tym zebraniu partyjnym. I oni zaznaczyli zresztą to w tym, że zabrał również głos niepartyjny.

Rafał Pękała: Proszę jeszcze nam powiedzieć, po podpisaniu porozumienia, co się wydarzyło? Co było dalej? Co się stało z tym tłumem, który stał przed budynkiem?

Włodzimierz Ilnicki: Tak jak już wcześniej mówiłem, poszliśmy do Dalmoru. To było tysiące ludzi, poszliśmy do Dalmoru. Tam był następny wiec. Z Dalmoru udaliśmy się właśnie wtedy już do domu kultury na Polskiej, przy Porcie i tam utworzył się ten Komitet Strajkowy. Oczywiście tam były wybory, kto, już, kiedy byliśmy w domu, i wtedy jednocześnie Mariański przyjechał do nas, przewodniczący Prezydium przyjechał do nas, dał nam sekretarkę swoją, która później została też z nami zamknięta, z tym że wywieźli ją do Wejherowa, ale później z powrotem do Gdyni, dał nam maszynę do pisania, następnie przyszedł do nas dyrektor portu, Rosiak. Też bardzo prosił przede wszystkim o spokój, żeby nie niszczyć. Mówi: „To są nasze rzeczy, nie niszczyć”. Zresztą w Gdyni nie pękła nawet ani jedna szyba. Nic nie zostało zdemolowane. I w pewnym sensie ja byłem, tym który... No, nie tylko ja, może źle powiedziałem. Dbaliśmy o to, żeby nie było prowokacji. Żeby nie było powodu, nie dać powodu milicji, żeby użyła siły przeciwko nam. Iść spokojnie, iść bez rozbijania sklepów, iść tylko walczyć o nasze prawa, a nie rozbijać, bo wtedy będą mieli powód do zamknięcia nas, wtedy będą mieli powód do rzucenia dużych posiłków, policji, przepraszam, milicji przeciwko nam. I o dziwo to wszystko spełniło się. W Gdyni nic, żadnych strat nie było. Wszystko odbyło się pokojowo, nie było żadnych...

Rafał Pękała: Komitet Strajkowy, on, tak jak pan powiedział, wyłonił się właśnie w Dalmorze. A jaką pan funkcję pełnił?

Włodzimierz Ilnicki: Wiceprzewodniczący.

Rafał Pękała: A kto był przewodniczącym? Niech pan powie, jaka była struktura.

Włodzimierz Ilnicki: Więc kiedy już udaliśmy się do domu kultury, tam na górze była taka kawiarenka i tam postawiliśmy dwa stoły, i w sumie wybory. Były wybory i do wyborów kandydował Andrzej Słodkowski, który został przewodniczącym. Mnie wybrali wiceprzewodniczącym. Mundka Hulsza jeszcze nie było wtedy, ale i on był bardzo aktywny. To muszę stwierdzić, że był bardzo aktywny. Zresztą tak jak Tadeusz Nowak pisze w tej broszurce, że najbardziej aktywni to był Ilnicki i Hulsz. Mówię o pod Komitecie Partii na Władysława. Ale Mundek był bardzo aktywny, z tym że niestety Mundek też podobno podpisał. On podpisał, zresztą przegrał tę sprawę teraz. Nie wiem, ile w tym prawdy. Współczuję mu, że tak się stało, ale on sobie sam to zrobił, z tym że on miał, obawiam się, że on miał inne może problemy, ale już pomijając to. Więc te wybory, później był sekretarz, byli łącznicy, którzy z różnych zakładów, którzy mieli, że tak powiem, łączyć z Marynarki Wojennej, tam ze Stoczni, z Dalmoru, z Radmoru. Oni mieli, że tak powiem, to, co ustalaliśmy tutaj, to oni mieli to przekazywać dalej. I to było mniej więcej w taki sposób, ale to było zbyt krótko, żeby cokolwiek zrobić. Myśmy oczywiście już mieli swoje, wypisaliśmy, co chcemy, co żądamy. Ale to wszystko spaliło na panewce, kiedy przyszli i aresztowali. Część tych papierów, wiem, że Andrzej Słodkowski zjadł. Tę listę,

którzy po wyborach. Zjadł po prostu tę listę, żeby nie wpadła w ręce milicji. Resztę papierów to zabrali. Nie wiem, co z tymi papierami. Próbowaliśmy spłodzić to w tak krótkim czasie. To było zbyt krótko, żeby cokolwiek więcej zrobić. Być może gdybyśmy przetrwali dwa dni, może inaczej by to było. Prawdopodobnie popełniliśmy błąd, idąc do domu kultury na Polskiej, zamiast pójść do Stoczni za bramę i wtedy byłibyśmy bezpieczni.

Rafał Pękała: Jerzy Kowalczyk. To nazwisko dosyć ważne. Opowie pan parę słów o jego roli nam.

Włodzimierz Ilnicki: Jurek był sekretarzem. Jurek był... Ja dopiero później oczywiście dowiedziałem się, był jednym z najbardziej zatwardziałych takich uczestników tego. Absolutnie jestem pełen podziwu dla Jurka i jego wkładu, który wniósł wtedy w Komitet Strajkowy. Ja wcześniej nie znałem jego przeszłości. Dopiero później się dowiedziałem, jakie on tam przechodził różne koleje losu, ale dla Jurka jestem pełen uznania. To był jeden z najbardziej twardych przeciwników komunizmu. To jest tyle, co mogę o Jurku powiedzieć. Oczywiście mógłbym o wiele więcej powiedzieć, ale to są inne sprawy. Ale jeżeli chodzi o Komitet Strajkowy, on był również jednym z tych pierwszych, którzy walczyli. Hulsz, bardzo mi szkoda Edmunda, ale podpisał. Dzisiaj konsekwencje ponosi.

Rafał Pękała: Jurek Kowalczyk opisywał to wydarzenie, tę pacyfikację, bardzo brutalnie milicja się z wami rozprawiła. Po Hulszu wręcz skakano. Miał pan ogląd tego, co się działo na sali?

Włodzimierz Ilnicki: Tak. W sumie, z tym że to też było tak gwałtownie, że powiem wam szczerze, że jak już wcześniej nie wszystko rejestrowałem, ale było bicie bardzo. Bili nas bardzo. Nie żałowali. Pamiętam ich rozwścieczone te twarze. Twarze, które w sumie niewiele mówiły, tylko dążyły do jednego: bić, zakuć w kajdany. Do nich nie docierały żadne słowa. Stąd zresztą wszyscy stwierdziliśmy, że prawdopodobnie albo narkotyki, albo coś musiało być, bo normalny człowiek nie reaguje, bo jeżeli się do takiego coś mówi, to w zasadzie jest reakcja. Tam nie było reakcji. Tam nie było niczego. Tam było tylko kłapki na oczach, do celu, kropka. Nie wolno w prawo, nie wolno w lewo. Bić, zakuć w kajdany, wrzucić do samochodu. Taki był ich cel. I nie wierzę w to, że oni nie mieli jakichś środków odurzających. Coś musiało być.

Rafał Pękała: Jak pan myśli, dlaczego tak szybko władza zaczęła pacyfikować was?

Włodzimierz Ilnicki: Zastanawiałem się nad tym już później, dlaczego. Prawdopodobnie było to spowodowane tym, lepiej szybciej niż to ma się bardziej rozwinąć. Oni prawdopodobnie doszli do wniosku, że Mariański popełnił błąd, podpisując. Oni widzieli, że to jest grupa ludzi, która już ma papier i pozwolenie na to. Więc oni, zanim to rozwinęło się, oni chcieli to jeszcze w załączku to zdusić, zmiażdżyć, co w pewnym sensie udało im się, niemniej jednak rzeczywiście skończyło to się krwawo. Suma summarum to była największa, można powiedzieć, rzeź w grudniu, bo najwięcej zginęło tam ludzi niewinnych.

Rafał Pękała: A czy można było uniknąć wydarzeń Grudnia? Jak pan uważa?

Włodzimierz Ilnicki: Zastanawiałem się nad tym często, czy można było uniknąć. Ciężkie pytanie. Z jednej strony

być może, gdyby nas nie zamknęli. Być może nie doszłoby do tego, bo z tego, co wiem, już po wyjściu rozmawiałem z ludźmi. Między innymi z tymi, którzy pojechali do Marynarki Wojennej, żeby... Tam była sytuacja taka, że kiedy domagali się, żeby nas zwolnili, być może, że gdyby nas zwolnili, udałoby się uniknąć. Być może, ale w tej chwili trudno na to pytanie odpowiedzieć. Mam nadzieję, że gdyby nas zwolnili, że może udałoby nam się. Może udałoby się uniknąć tego przelewu krwi, ale to jest trudno. Mimo wszystko, że byliśmy, można powiedzieć, legalni, mimo wszystko by nas zamknęli. Czyli tu w tym przypadku ze strony władzy można było się spodziewać wszystkiego. Czy legalnie, czy nielegalnie, oni tak postanowili i tak zrobili, i tutaj nie było żadnego.

Rafał Pękała: Czy dzisiaj, z dzisiejszej perspektywy, zrobiłby pan coś innego? Czy podjąłby pan inne decyzje?

Włodzimierz Ilnicki: Prawdopodobnie tak. Wtedy prawdopodobnie błędem było pójście do Domu Polskiego, które nie było, że tak powiem, zabezpieczone. Być może, gdybyśmy poszli do Stoczni, będąc w środku, może bylibyśmy bardziej zabezpieczeni, ale powstaje pytanie, co władze by zrobiły wtedy? Być może spacyfikowałyby Stocznnię. Być może wjechali czołgiem w bramę, wjechali do środka. To samo zrobili w Stoczni, co zrobili w Domu Polskim Zarządu Portu. Trudno jest dzisiaj jakiegokolwiek wnioski wyciągnąć z tego, co by było, gdyby było. Dlatego, że postępowanie władzy równało się z wielką niewiadomą. Czy legalnie, czy nielegalnie, oni zrobili to, co chcieli.